

Zwodniczy język imperium

(kilka uwag na marginesie toczącej się wojny)

Tadeusz Witkowski

Przebudzenie

W opinii wielu komentatorów dzień 24 lutego 2022, wyznaczy kiedyś cezurę w historii cywilizowanego świata. O szoku wywołanym rosyjskim atakiem na niepodległe sąsiedzkie państwo można mówić przede wszystkim w przypadku krajów Zachodu, które zdążyły przywyknąć do atmosfery niczym nie zmąconego pokoju i niskich cen ropy rosyjskiej. W dwunastym miesiącu wojny minister spraw zagranicznych Austrii Alexander Schallenberg porównał nawet konsekwencje inwazji do wygnania z raju. Dla narodów wyzwolonych w 1989 roku spod panowania sowieckiego to, co się wówczas wydarzyło, nie było jednak wielkim zaskoczeniem. Doświadczenia historyczne państw uzależnionych swego czasu od Moskwy nie mogły pozostawiać złudzeń co do wyrzeczenia się przez dzisiejszą Rosję dawnych, wielkomocarstwowych ambicji. Rosyjska agresja okazała się po prostu jeszcze jednym potwierdzeniem trafności proroczej diagnozy Lecha Kaczyńskiego, sformułowanej czternaście lat wcześniej w związku z napaścią Rosji na Gruzję. 12 sierpnia 2008 roku, podczas wizyty przywódców Europy Środkowej w Tbilisi, prezydent Rzeczypospolitej wypowiedział między innymi pamiętne słowa: „[...] wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę”.

Na granicy subtelności

Uzależnione od władz rosyjskie media nigdy nie zaczęły używać w odniesieniu do ataku na Ukrainę określeń takich jak „inwazja” czy „wojna”. Ciągłe obowiązuje termin wyprowadzony z kazuistycznej retoryki prawnej „specjalna operacja wojskowa”. Dla Ukrainy liczącej w 2022 roku 43 i pół miliona ludności i dla cywilizowanego świata działania Federacji Rosyjskiej są po prostu zbrojną agresją. W słowniku państwa, którego populacja sięgnęła w tym okresie blisko 147 milionów, znalazło się określenie brzmiące o wiele bardziej niewinnie.

Przypomina to czasy, gdy po rozbiórce Polski przez hitlerowskie Niemcy i Związek Sowiecki we wrześniu 1939 roku zagarnięcie wschodnich województw naszego kraju nazywano wyzwoleniem bratnich narodów słowiańskich spod panowania polskich obszarników a napaść na Czechosłowację przez państwa Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 bratnią pomocą. Można by w sumie bez większego ryzyka opisać dzisiejszy język imperium używając lapidarnej formuły, którą swego czasu posłużył się Anatolij Golicyn w tytule książki *Nowe kłamstwa w miejsce starych (New Lies for Old)*.

Celem operacji miała być według Kremla denazyfikacja i demilitaryzacja Ukrainy. Władzom w Kijowie postawiono zarzut, iż w okresie sprzed interwencji dyskryminowały Rosjan na terenach pozyskanych w wyniku rozpadu Związku Sowieckiego i prowadziły działania zaczepne wobec obwodów, które oderwane zostały od państwa ukraińskiego podczas inwazji rosyjskiej w 2014 roku. To ich przedstawiciele mieli zwrócić się do Rosji z prośbą o pomoc. Co prawda, głowa moskiewskiego kościoła prawosławnego, popierający inwazję patriarcha Cyryl I, w homilii wygłoszonej 6 marca obarczył odpowiedzialnością za sprowokowanie interwencji ukraińską społeczność LGBT, ale cóż to szkodzi oficjalnemu przekazowi? Ważne, że prezydentowi Rosji przybywa wyznawców także i z prawej strony...

Mówiąc o denazyfikacji specjaliści od kremłowskiej propagandy najwyraźniej liczyli na uprzedzenia wobec skrajnej prawicy i resentymenty zakorzenione w mentalności elit europejskich. Zdaje się to potwierdzać symbol „Z” malowany na czołgach tudzież innych pojazdach rosyjskich. W samej Rosji mało kto chyba rozumie, w jakim celu jest ów znak używany. W Internecie doliczyłem się kilkunastu prób wyjaśnienia tej kwestii. Minister obrony Siergiej Szojgu miał podobno lansować tezę, że chodzi o plastyczny ekwiwalent hasła „za zwycięstwo” (за победы). Nie ma w tym zbyt wiele sensu, jako że w pisowni języka rosyjskiego używa się cyrylicy, gdzie „Z” przypomina cyfrę „3” (3), gdy tymczasem znak na pojazdach ma kształt litery występującej w alfabetach łacińskim i greckim. Osobiście skłonny byłbym twierdzić, że jakiś intelektualista rosyjski (w końcu komunizm też był dziełem intelektualistów!) podsunął władzom wojskowym grecki symbol ruchu antyfaszystowskiego lat sześćdziesiątych minionego stulecia, używany po zabójstwie lewicowego polityka Grigorisa Lambrakisa. Litera „Z”

zaczęła wówczas funkcjonować jako skrót hasła „Ζε” (On żyje) i została wykorzystana w tytule głośnego i wielokrotnie nagradzanego filmu produkcji algiersko-francuskiej (1969). Jego reżyser, Costa-Gavras, urodził się w rodzinie uczestnika greckiego ruchu oporu czasu II wojny światowej, który nawiasem mówiąc sympatyzował z komunistami sowieckimi.

W opinii propagandystów Kremla Ukraina to państwo faszystowskie, a więc użycie symbolu „Z” mogło mieć dla nich jakieś uzasadnienie. Okoliczności i kontekst, w którym się często pojawia, świadczą jednak, iż jego użytkownikom nie chodzi bynajmniej o zagrożoną demokrację. W gablotach i na plakatach reklamowych przedstawia się niekiedy ów znak w formie wstęgi świętego Jerzego, której towarzyszy napis „#Своих Не Броцаем” (swoich nie porzucamy). Jest to myślenie w kategoriach „ruskiego miru”, wyraz nostalgii za mityczną jednością wszystkich rozproszonych Rosjan i osób, które czują się spadkobiercami rosyjskiej cywilizacji.

Tak czy inaczej, użycie owego symbolu mogło się łączyć z nadzieją pozyskania sojuszników również i w lewicowych kręgach Zachodu. Problem w tym tylko, że od czasu, gdy w Grecji rządziła junta wojskowa, priorytety lewicy mocno się przetasowały. Poza tym działalność Lambrakisa miała charakter zdecydowanie antywojenny a w rozumieniu Rosjan używających znaku „Z” słowa „pokój”, „pomoc” i „wyzwolenie” oznaczają *de facto* inwazję, zniszczenie i militarną ekspansję.

Gniew upadającego imperium

Kiedy w środowiskach „politycznych realistów” na Zachodzie zaczęto obwiniać Stany Zjednoczone i inne państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego o prowokowanie Rosji poprzez próby przesunięcia granic NATO na wschód, propaganda Kremla natychmiast ów temat podchwyciła. Sięgnięto przy tym po argument siły i buńczuczne pogrożki.

Podczas rozmowy przeprowadzonej 16 czerwca przez telewizję BBC z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem dziennikarz wspomniał, iż cywilizowany świat mówi o inwazji a „operację specjalną” nazywa zwyczajnie wojną. Ławrow zareagował wówczas słowami „nie interesuje nas opinia publiczna, a jedynie definicje prawne”. „Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy” –

dorzucił. W innym wywiadzie dla tej samej stacji (20 lipca) minister oświadczył, że jego kraj nie poprzestanie na zajęciu Donbasu i pójdzie dalej, jeśli Zachód nadal będzie dostarczał Ukrainie broń. Temat ten wraca obecnie jak bumerang w różnych wariantach. 2 lutego szef rosyjskiego MSZ powiedział, że im więcej broni dalekiego zasięgu będzie otrzymywać od Zachodu Ukraina, tym dalej Rosja będzie musiała odepchnąć Ukrainę od swojego terytorium. Od dawna wtórują mu, nawiasem mówiąc, gromkie okrzyki byłego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, czeczeńskiego namiestnika Ramzana Kadyrowa, czy choćby telewizyjnego propagandysty Władimira Sołowiowa, który niedawno zachęcał władze do ataku nuklearnego na Polskę. Tyle że retoryka obfitująca w pogróżki wydaje się być w stopniu większym formą usprawiedliwiania przed opinią rosyjską niepowodzeń i opieszałości „operacji” niż metodą odstraszenia państw popierających Ukrainę.

Już w pierwszych tygodniach wojny stało się jasne, że prezydent Putin przecenił siły i morale rosyjskiej armii a przy tym nie docenił patriotyzmu i zdeterminowania Ukraińców. Inicjalny atak na kierunku kijowskim skończył się kompletnym fiaskiem. Rosyjskie wojska musiały się skupić na działaniach w obwodach ługańskim i donieckim. Wsparcie Ukrainy ze strony państw NATO w postaci sankcji i dostaw uzbrojenia sprawiło, że mimo ogromnej przewagi w ciężkim sprzęcie i w liczebności wojsk postępy Rosjan okazały się niewielkie i drogo opłacane. W opinii ekspertów CIA w ciągu pierwszych pięciu miesięcy wojny poległo około 15 tys. żołnierzy rosyjskich, a 45 tys. odniosło rany. Według ocen zachodnich specjalistów z listopada i grudnia liczba zabitych i rannych Rosjan sięgnęła pułapu 100 tysięcy. Sztab Generalny Ukrainy szacuje przy tym rosyjskie straty znacznie wyżej. Dane z 1 lutego 2023 r. mówią np. o wyeliminowaniu 128 420 żołnierzy. W ocenie komentatora BBC straty osobowe napastnika w skali całego roku mogły wynieść nawet 200 tysięcy. Po stronie rosyjskiej szybko więc musiała dać o sobie znać frustracja, co znalazło choćby wyraz w atakach raketowych na obiekty cywilne, w rabunkach i wywózkach z zajmowanych terytoriów ludności lojalnej wobec władz w Kijowie tudzież w pospolitych morderstwach i gwałtach popełnianych na ukraińskich kobietach.

Część europejskich i amerykańskich środowisk politycznych (zarówno z lewej jak i z prawej strony) nawołuje do wstrzymania pomocy Ukrainie i wszczęcia rozmów pokojowych. Rolę hamulca odgrywa tu najwyraźniej obawa, że do

otwartej wojny z Rosją może zostać wciągnięty cały Sojusz Północnoatlantycki. Większość zdaje się jednak rozumieć, że Rosja nigdy dobrowolnie nie wycofa się z zajętych terytoriów. Jediną nadzieję na uzyskanie przyszłych gwarancji pokoju niosą przeto sankcje i zwiększenie dostaw najbardziej nowoczesnej broni defensywnej, takiej choćby jak czołgi i samoloty najnowszej generacji. Gdy piszę te słowa, w kilku krajach trwa szkolenie żołnierzy ukraińskich na niemieckich Leopardach i na innym nowoczesnym sprzęcie. Na państwa i firmy wspierające działania kierowane przeciw integralności terytorialnej i suwerenności Ukrainy nakładane są kolejne sankcje, przy czym przekonanie o ich bezużyteczności ustępuje miejsca bardziej rzeczowym kalkulacjom. W trzech kwartałach minionego roku spadek PKB w Rosji był w porównaniu z innymi krajami niewielki, bo wynosił tylko 2,5 proc. W czerwcu ogłoszono wszakże niewypłacalność długu państwowego i spadać zaczęły gwałtownie akcje Gazpromu. Zdaniem specjalistów od ekonomii Rosja systematycznie ubożeje i najgorsze dopiero przed nią.

Pod nadzorem „Ministerstwa Prawdy”

Rozwój technologii informacji uniemożliwia dziś pełną kontrolę nad językiem Internetu, władze rosyjskie usiłują jednak cenzurować wszystko, co pojawia się w sieci, nawet jeśli właścicielem portalu jest jakaś zachodnia korporacja informatyczna.

W pierwszym półroczu wojny zablokowane zostały portale społecznościowe Instagram, Facebook i Twitter. W końcu lipca w okupowanym Donbasie zablokowano przeglądarkę Google. Wcześniej sąd rejonowy w Moskwie dwukrotnie nałożył na tę firmę wysokie kary za nieusuwanie „nieścisłych informacji o przebiegu operacji specjalnej”. W sierpniu sąd postawił podobne zarzuty i nałożył kary na platformę Telegram oraz należący do Amazonu serwis Twitch. Styczeń 2023 przyniósł jeszcze jedną cenzorską rewelację. Twitch musiał zapłacić karę w wysokości 57 tys. dolarów za nieusunięcie w porę niewygodnych dla władz wiadomości.

Penalizacji podlegają również nieprawomyślni obywatele, którzy nie zdając sobie sprawy z tego, co im grozi, zamieszczają w mediach społecznościowych

antywojenne wypowiedzi. Zachodni dziennikarze dotarli do kilku osób skazanych za ten rodzaj „przestępstw” na więzienie.

14 lutego w programie BBC World News zaprezentowano krótką rozmowę z dwudziestoletnią studentką uniwersytetu w Archangielsku Olesią Kriwstową. Olesia przebywa w areszcie domowym z elektronicznym identyfikatorem na nodze. Policja monitoruje każdy jej ruch. Grozi jej dziesięć lat więzienia, ponieważ w październiku, gdy uszkodzony został most prowadzący na Krym, zamieściła kilka „niestosownych” uwag na Instagramie i parokrotnie wypowiadała się przeciwko wojnie. Poza tym nigdy nie ukrywała swego stosunku do totalitaryzmu i do obecnej władzy. Na jej prawej nodze rozpoznać można wytatuowanego pająka z głową prezydenta Putina i z orwellowskim napisem w języku rosyjskim „СТАРШИЙ БРАТ СМОТРИТ НА ТЕБЯ” (starszy brat patrzy na ciebie). Zadenuncjowali ją koledzy z uczelni.

Lojalni wobec władz donosiciele nie będą jednak mieli w przyszłości dużego pola do popisu, jako że 13 lutego agencja Interfax poinformowała o uruchomieniu w Rosji zautomatyzowanego systemu o nazwie „Osculus”. To rodzaj algorytmu używanego przez rosyjski Główny Ośrodek Częstotliwości Radiowych w celu wykrywania treści internetowych naruszających rosyjskie prawo (takich choćby jak memy ośmieszające prezydenta). System ów będzie w stanie sprawdzić ponad 200 tys. obrazów dziennie.

Oczywiście, rosyjskie władze i tamtejsi specjaliści od propagandy nie ograniczają się do „zwalczania dezinformacji”. Potrafią również korzystać z jej dobrodziejstw. Bez zażenowania czyni to choćby prezydent Putin, który mówi o polskich planach zajęcia zachodnich terenów Ukrainy. Gdzieś od września ubiegłego roku narracja ta pojawia się w różnych wariantach na rosyjskich stronach internetowych. Raz pokazuje się karty Państwowej Komisji Wyborczej rzekomo przygotowane na okoliczność referendum w sprawie przynależności Lwowa do Polski, innym razem mapę pogody, na której granice Polski sięgają pod Kijów.

Działania obliczone na stymulowanie konfliktów i sianie fermentu w obozie przeciwników są przy tym wspierane przez „fejki” lżejszego kalibru. Europejska Służba Działań Zewnętrznych (*The European External Action Service*) przygotowała niedawno raport oparty o analizę stu przykładów dezinformacji z

jesieni ubiegłego roku. Głównym celem ataków była oczywiście Ukraina, ale wśród krajów, które znalazły się na rosyjskim celowniku Polska zajęła poczesne miejsce. Nie jest to jakiś szczególny powód do dumy, ale wstydzić się nie ma czego, bo w raporcie uwzględnione zostały również Stany Zjednoczone, Mołdawia, Wielka Brytania i Niemcy.

Gdy 15 listopada pocisk raketowy zabił w Przewodowie dwóch polskich obywateli, natychmiast zaczęto rozpowszechniać plotkę, że była to prowokacja władz Ukrainy, które liczyły na wciągnięcie do wojny wszystkich państw NATO. Do zdjęcia Mateusza Morawieckiego składającego kwiaty przed Pomnikiem Ofiar Wielkiego Głodu raz dokleiono flagę banderowską, innym razem pokazano polskiego premiera pod pomnikiem Stepana Bandery. Efekt był widoczny. Natychmiast odezwali się przeciwnicy polityczni premiera.

Kto potrafi posługiwać się programem Adobe Photoshop, wie jak łatwo jest zrobić fotomontaż. Trochę trudniej jest manipulować obrazami ruchomymi, ale i tu nie brakuje możliwości przeinaczeń. Podłożyć można inne logo, zmienić napis na pasku lub przenieść obraz wideo w inne miejsce i czas. Angielskojęzyczny serwis informacyjny France 24 poświęcił tej kwestii specjalny „kącik” zatytułowany *Truth or Fake* (prawda czy fałsz). Nie zabrakło w nim miejsca dla przeinaczeń dotyczących Polski, z ich treści można wnosić jednak, że były adresowane głównie do odbiorców z innych krajów.

26 stycznia bieżącego roku pokazano rozpowszechniane w rosyjskich mediach społecznościowych wideo z logo TVP1 przedstawiające defiladę wojskową z napisem na pasku „POLSKA MOŻE STWORZYĆ W ARMII JEDNOSTKI LGBT”. Nikt znający polskie realia nie weźmie na serio takich rewelacji, ale w Rosji czy też w innych krajach Europy ... kto wie? W końcu przedstawiono fragment transmisji z defilady, która rzeczywiście miała miejsce, tyle że bez rzeczonoego napisu i kilka lat wcześniej, podczas obchodów święta Wojska Polskiego w roku 2018. Z kolei 1 lutego na Tik Toku zaprezentowane zostało wideo, z amerykańskimi czołgami M1 Abrams, które rzekomo znajdują się już w Polsce i są transportowane na Ukrainę. *De facto* film pochodził z prywatnego wideo nakręconego w stanie Kansas 24 stycznia. Tak więc choć działania zbrojne prowadzone są jak na razie tylko na Ukrainie, hybrydowa wojna Rosji z Zachodem już trwa i wiele wskazuje na to, że może przenieść się na pola bitewne.

O co chodzi?

Dezinformacja była w bloku państw komunistycznych zawsze podporządkowana celom strategicznym. W Rosji Sowieckiej stosowano ją co najmniej od czasów Trustu i NEP-u. Z reguły chodziło o skompromitowanie służb wywiadowczych innych krajów, o osłabienie czujności i zdolności obronnych Zachodu lub o odwrócenie uwagi opinii publicznej od własnych słabości. Celem mogło być też stworzenie lepszych warunków do rozwoju własnej gospodarki i pozyskanie pomocy ekonomicznej w formie zachodnich inwestycji.

Działania dezinformacyjne w służbie sztuki wojennej to oczywiście żadna nowość. Zalecał je już dwa i pół tysiąca lat temu chiński teoretyk Sun Zi. Bo w końcu zawsze idzie o to samo, o uderzenie w zdolności obronne przeciwnika, o prowokowanie w jego kraju konfliktów i dyskredytowanie wszystkiego co sprawia, że popierają go poddani. Ale i w czasach pokoju przeinaczanie faktów wsparte kreowaniem fikcji przynosi pożądane efekty. To dlatego w powojennych strukturach służb specjalnych bloku moskiewskiego funkcjonowały specjalne komórki zajmujące się produkcją fałszywych materiałów. Działały one skutecznie w ramach Pierwszego Zarządu Głównego KGB czy choćby peerelowskiego Departamentu I MSW. Prezydent Federacji Rosyjskiej musi mieć w tym zakresie dobre przygotowanie, bo w przeciwieństwie do sam był oficerem KGB. To, że władze na Kremlu usiłują odstraszyć państwa sprzyjające Ukrainie i wbić klin między sojuszników, którzy jej pomagają, nie jest więc w sumie niczym niezwykłym.

Rodzimi przeciwnicy udzielania pomocy Ukrainie usiłują dowodzić, że w interesie Rosji nie leży podbój Polski, gdyż to doprowadziłoby ją do wojny z całym Sojuszem Północnoatlantyckim. Sięgają też po inne argumenty przywołując liczby świadczące o poparciu, jakim cieszy się wśród Rosjan prowojenny kurs w polityce forsowanej przez ich prezydenta. Nie wszyscy powielający w Polsce rosyjską narrację zdają się przy tym rozumieć, że o nastrojach politycznych w większym stopniu niż racjonalne myślenie może decydować mechanizm psychologicznej kompensacji. Warto pamiętać, że masy rosyjskie są karmione propagandą wyzwalającą poczucie zagrożenia i tak jak w czasach carskich i sowieckich mogą to rekompensować manifestowaniem siły i dążeniem do ekspansji.

Polska jako obiekt dezinformacji zajęła miejsce specjalne z kilku powodów. Władze Rzeczypospolitej od pierwszego dnia inwazji udzielają wschodniemu sąsiadowi pomocy politycznej, wojskowej i humanitarnej, a przy tym optują za jak najszybszym przyjęciem Ukrainy do Unii Europejskiej, za dostarczeniem jej przez państwa NATO najbardziej nowoczesnego uzbrojenia i za nowymi sankcjami przeciwko Rosji.

Z danych służb granicznych ogłoszonych 23 lutego wynika, że od początku rosyjskiej inwazji na terytorium Polski wjechało z Ukrainy 10 milionów 33 tysiące osób. Na Ukrainę w tym czasie odprawiono ponad 8 milionów 131 tysięcy osób. Różnica zamyka się w cyfrach 1 milion 902 tysiące. Część Ukraińców, którzy przybyli, pojechała dalej na zachód. Liczbę tych, co pozostali, śmiało jednak szacować można na ponad półtora miliona. W 93 procentach są to kobiety i dzieci. Polskie władze zapewniły im opiekę lekarską, możliwość podejmowania pracy i otwierania kont bankowych bez dodatkowych opłat. Wiele polskich rodzin przyjęło ich pod swój dach, ale duża część nadal mieszka w punktach zbiorowego zakwaterowania. Dzieci kontynuują naukę w polskich szkołach. Według szacunków z października ubiegłego roku wartość udzielonej pomocy sięgnęła pułapu półtora miliarda złotych.

Zdecydowana większość Polaków zareagowała na agresję w sposób godny najwyższego uznania. Społeczność polska aktywnie włączyła się w akcje pomocy udzielanej ofiarom napaści nie zważając na wewnętrzne podziały polityczne i na fakt, że na dzisiejszych stosunkach polsko-ukraińskich kładzie się cieniem historia Wołynia i Małopolski Wschodniej lat 1943–1944. Moralne wsparcie przyszło ze strony osób cieszących się w swoich środowiskach jakimś autorytetem, aktywistów opozycji lat 1956–1989, działaczy represjonowanych z powodu walki z systemem komunistycznym i zwykłych obywateli. 18 marca ubiegłego roku redakcja „Tygodnika Solidarność” opublikowała w swoim portalu list otwarty Polaków odznaczonych Krzyżem Wolności i Solidarności do obrońców niepodległej Ukrainy. Znalazł się w nim passus takiej oto treści:

Jesteśmy głęboko przekonani, że dzisiaj walka o wolność Polski toczy się na przedpolach Kijowa, Charkowa, Odessy, Mariupola, Chersonia i w innych miejscach na ukraińskiej ziemi. Dlatego zapewniamy, że z naszej strony dołożymy wszelkich

starań o podjęcie jak najszerzych, stosownych działań Państwa Polskiego i Rządu w celu wspólnej walki z rosyjskim najeźdźcą. Wasza walka kieruje nasze myśli w stronę najlepszych kart naszego wspólnego dziedzictwa, zawartego w hasle „Za waszą i naszą wolność” i przypomina o niezniszczalnym braterstwie naszych narodów.

Spotkałem się kiedyś z opinią, że dzisiejsza Ukraina przejęła rolę dziewiętnastowiecznej Polski. Nie podzielałem tej opinii w całej rozciągłości, choć o jakichś podobieństwach losów można mówić. Zasadnicza różnica sprowadza się do tego, że dziewiętnastowieczna Polska była kompletnie osamotniona. Uczestnicy powstań narodowych umierali na zesłaniu bądź na emigracji w biedzie i w zapomnieniu. Podczas pobytu w Paryżu w 1841 roku Juliusz Słowacki pisał:

Ale Ty Boże! który z wysokości
Strzały Twe rzucasz na kraju obrońce,
Błagamy Ciebie, przez tę garstkę kości,
Zapał przynajmniej na śmierć naszą – słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas przecie widzą – gdy konamy!

(Pogrzeb kapitana Meyznera)

Ukraina może liczyć dziś na pomoc cywilizowanych społeczeństw Zachodu i narodów, które pamiętają sowiecką dominację. To prawda; niektórzy europejscy politycy nigdy nie odważą się głosować za kompletną izolacją agresywnego imperium i zawsze znajdą się wśród nich osoby gotowe powielać rosyjską narrację. Tym warto przypominać wypowiedź Lecha Kaczyńskiego w trochę zmodyfikowanej wersji. „Wiemy świetnie, że dziś Ukraina, jutro państwa bałtyckie, pojutrze Polska a później może przyjdzie czas na resztę Europy”.

24 lutego 2023 roku